

I. O ja

Pogranicznik w czapie jak dekiel od studzienki ściekowej patrzył na mój paszport.

– Łukasz Ponczyński – przeczytał.

– No tak – powiedziałem – nic nie poradzę.

– Narkotyków nie masz? – spytał polszczyzną dziwnie pozbawioną akcentu i ten brak akcentu nie pasował do jego niezgrabnego munduru, do tej jego czapki o średnicy koła od roweru, do której przypięty tryzub też zresztą nie pasował, bo tryzub to pasuje do czapki austriackiego wzoru, a nie do tej radzieckiej stolnicy.

– Czego? – spytałem, gapiąc się na tę czapkę. – Narkotyków? A co to?

Uśmiechnął się i przez chwilę w tym uśmiechu przypominał Eugeniusza Bodo z przedwojennych plakatów. Wbił mi pieczętkę do paszportu. – A na Ukrainę po co? – spytał jeszcze Bodo.

– Kości przodków wycalować – odpowiedziałem, choć specjalnie przodków na Ukrainie nie miałem. Pogranicznik się roześmiał.

w pachnący kawą wieczór. W drzwiach minął nas żołnierz wojsk MSW. Był wysoki jak latarnia morska. Miał czarny beret i gigantyczne, sztywne pagony, wystające daleko poza ramiona. Przyglądał nam się z taką ciekawością, jakbyśmy stanowili nowy, nieznany gatunek człowieka.

Tak samo patrzyła na nas pani biletowa w tramwaju. Kokościła się na plastikowym siedzeniu, w niebieskim kitlu, w domowych bamboszach i z rolką biletów zawieszonych na szyi, i obserwowała nas ukradkiem. A my obserwowaliśmy ją.

I znów byliśmy na lwowskim rynku, tyle że zaczęło się już robić ciemno. Krążyliśmy zrujnowanymi uliczkami, popijając dzintonik na przemian z Wigorem i już nam absolutnie w głowach trzeszczało.

Chwialiśmy się właśnie w najlepsze przed katedrą Ormiańską, gdy podeszła do nas ondulowana na różowo baba, po polsku pochwaliła pana Jezusa i zapytała, czy nie szukamy aby kwatery, bo jakby co to ona ma.

– Mamy już – powiedział Hawran – dziękujemy.

– A u kogo? – spytała ona mrużąc oczy.

– A u takiego Jurija – odpowiedział Hawran.

– A gdzie? – upierała się baba. – Jurij, Jurij – zastanawiała się.

– Na Zamarstynowie. Na Kwiatowej. Kwitowej znaczy. Znaczy Kwiatowej. Znaczy, no.

– No co pan! – wydarła się baba, zakumawszy, który Jurij. – U tego złodzieja!

– Ee – powiedział Hawran – dużo to nie wziął. Ale wódki nie chciał pić... – poskarżył się.

– Ale on nie jest Polak! Tylko udaje! – machała rękami baba – on jest niekoncesjonowanym, nieprawdziwym Polakiem i polskich turystów na pokuszenie zwodzi!

– No trudno – mruknąłem. – No ale cóż począć.

– Wyprowadzić się! – powiedziała stanowczo. Wyglądała jak stereotypowa Rosjanka, złote zęby, róż na wyschniętych policzkach. Rosjanka, którą ktoś nieudolnie dubbinguje na polski. – Do prawdziwych Polaków iść żyć! Polacy do Polaków!

– No, następnym razem – powiedział Hawran – to na pewno. Polacy do Polaków i tak dalej, ale teraz, pani wybaczy...

– My tu mamy takie stowarzyszenie – dźgnęła mnie boleśnie purpurowym pazurem w spłot słoneczny – Stowarzyszenie Polskich Właścicieli Polskich Mieszkań Pod Wynajem Dla Polskich Turystów Przyjeżdżających Na Lwowską Ziemię, w skrócie ESPWUPEEMPEWUDEPETEPEENELZET, pan powtórzy, to zapamięta...

– Popocatepetl – powtórzyłem posłusznie.

– Tak, no i tylko my jesteśmy koncesjonowaną polską organizacją, która ma monopol na wynajmowanie mieszkań przez Polaków dla Polaków...

– A kto wydaje koncesję? – zainteresował się Hawran. Baba go zignorowała.

– Prosimy zgłaszać każdy wypadek nadużycia i w ogóle, no, każdy wypadek podszywania się nie-Polaka pod Polaka, a najlepiej to pojechać do tego Jurija już teraz, zabrać bagaże, i, proszę państwa, ja mam tu takie piękne lokum niedaleczko, na Doro... Sykstuskiej, tak dawajcie, pajediom...

– Dziękujemy, dziękujemy, Bóg panią błogosławi, to jak

przyjedziemy znów zobaczyć miasto Lwów, semper fidelis, lis Witalis – wymawiał się Hawran, gnąc się w ukłonach i rakiem się wycofując. Szybko podłapałem jego strategię i zacząłem robić to samo. Musieliśmy dziwnie wyglądać, grzejąc pokłony przed ondulowaną furią z pazurami jak strzyga, bo ludzie przystawali na ulicy i patrzyli, co też z tego będzie – może jaki teatr uliczny? Ale my odwróciliśmy się i poszliśmy dalej. W ulicę Ormiańską.

Po dwudziestej drugiej miasto już się zamykało. Tak wtedy było, w dwa tysiące drugim roku. O dwudziestej drugiej kończyło się życie, a Lwów, podobnie zresztą jak w tamtych czasach Warszawa, zamieniał się w sypialnię. Porządnie nawaleni snuliśmy się uliczkami i szukaliśmy czegokolwiek, co mogło być otwarte i sprzedać nam procenty.

Wreszcie, gdzieś w okolicach ulicy Łesi Ukrainki, usłyszeliśmy znajome dźwięki. Bardzo znajome. To był *Bal u weteranów*. Lokal mieścił się na parterze i przez okno widać było muzyków: wyglądali jak porządne baciary – kaszkiety kraciate, marynareczki, fulary – wszystko było. Weszliśmy. Usiedliśmy przy stoliku, a wokalista – zasuszony dziód o wyglądzie takim, że Himilbach by się zaniepokoił, gdyby go zobaczył – zachrypiał:

– Opiwnoczi si z'jawili jakis dwa ciwili. Mordy odrapani, kosmy jak badyli.

– Ty – powiedział skonsternowany Hawran.

– No właśnie – odpowiedziałem wsłuchany.

– Nicz nikomu ne wpowili, tylki mordy bili... – śpiewał dziadek.

– O kurwa – powiedział Hawran zamyślony.

– No – odpowiedziałem.

– Piwo czy wódka? – spytał kelner.

– Wódka – powiedzieliśmy obaj naraz.

– A szo – powiedział kelner, patrząc na nas uważnie i uśmiechając się pod bardzo kelnerskim wąsem – wy dumali szo sered baciariw Ukrainciw ne buło, czy szo?

– Sam żeś jest nebuło czyszo – mruknął pod nosem Hawran, gdy kelner odchodził z zamówieniem.